Nr. 51. We Lwowie dnia 17. grudnia 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

SABAŁA.

Urywek z dzieła St. Witkiewicza »Na przełęczy«.

Sabała należy do ludzi, których wartość jest niezawisłą od nabytych z zewnątrz bogactw, znaczenia lub nauki, to, co stanowi jego wyższość, jego istotną wartość, leży w nim samym, w szczególnej, wyjątkowej, oryginalnej budowie jego natury. Ludzie tacy nie mierzą się poziomem swego otoczenia, można ich przeprowadzić przez wszystkie szczeble społecznej drabiny, pozostaną zawsze tem, czem są i nie roztopią się w pospolitej masie tłumu.

Biedny, na pół ślepy góral, którego całym majątkiem jest dziś kozi serdak i cuha, w której rękawie zeszytym mieszczą się jego gęśliki; chłop, który zaledwie umie czytać i pisać, którego cała nauka leży w obserwacjach, zebranych w walce z dziką naturą i Liptakami, — ten biedny starzec byłby zwykłym dziadem, o którego „uprzątnięcie“ dopominałyby się w mieście brukowe pisemka, gdyby nie jego nadzwyczajna dusza, rzucająca na jego postać i słowa światło, w którem można odnaleźć blaski, bijące od dzieł wszystkich wielkich poetów.

Kiedym po raz pierwszy poszedł odszukać Sabałę, było to w zimie; zastałem go w ciasnej izbie góralskiej chałupy, niańczącego wnuka, w strasznym zaduchu i gorącu, w otoczeniu siedmiorga jagniąt i pary cieląt, zimujących w izbie. Chudy był i schorzały. W mroku chałupy, światło okienka przełamywało się w jego przygasłych oczach czerwonym, fosforycznym blaskiem, jakim świecą oczy owiec w ciemnościach.

Uradował się z naszego przyjścia, bo Sabała lubi świat i ludzi; nie trzeba też było długo namawiać, żeby z nami poszedł. Zarzucił cuhę, która zadźwięczała strunami gęśli, ukrytych w rękawie, obwiązał chorą głowę kawałkiem szmaty, wziął ciupagę i poszliśmy.

Mały wnuczek, przywiązany do dziadka, wygramolił się przez próg i dreptał za nami bosemi, zsiniałemi nóżkami po śniegu. Z trudem zatrzymano go przy chałupie. Sabała mówił:

— Prosem piknie, to takie miłe, dobre chłopcysko! A takie śpała sprzętne, wywertne, z pieca cy kany to to kipnie, jak dziki cap! Hej!

Sabała liczy dziś ośmdziesiąt sześć czy siedm lat, i więcej niż połowa jego życia wiąże się z temi czasami bytu zakopańskich górali, kiedy oni stanowili jakieś odrębne społeczeństwo, żyjące po za stosunkami obowiązującymi w szerokich i zewsząd dostępnych dolinach.

W tych czasach, kiedy na całej dolinie Zakopanego stał jeden las czarny, kiedy »traców nie było, tylko łupali jedle i z takich łupanic stawiali chałupy wielkie, wysokie«, kiedy nie było w Zakopanem ani kościoła, ani dróg jezdnych, w czasach tych wszystkie formy bytu były tak różne od tego, do czego jesteśmy przywykli w dolinach, że się o nich słucha, jak o bajce, że w najprostszem opowiadaniu, dotyczącem najzwyklejszych stron życia górali, dosłuchuje się jakichś ech z bajek, które w dzieciństwie gwarzyły niańki.

Pasterstwo, myśliwstwo, zbójnictwo są głównym tematem opowiadań Sabały, jak były wybitnemi przejawami życia górali. Lud pasterski musiał stoczyć walkę z właściwymi tubylcami tej dzikiej ziemi górskiej, wyzwolić się z ich przemocy, a potem być ciągle przed nimi na straży. Niedźwiedź, wilk, orzeł, były tymi pierwszymi nieprzyjaciółmi, które czyhały na stada owczarzy,

z którémi należało się przedewszystkiem rozprawić. Ponieważ jednak człowiek i względem ludzi bywa wilkiem, więc co się nie dało wystrzydz z grzbietów owiec, co się nie zdobyło na skórze i mięsie niedźwiedzia i wszystkich innych zwierząt dzikich, to się dobierało, »pożyczało« z komory liptowskich wolarzy, hrubych gazdów, orawskich panów i bogatych baców.

Z drugiej strony, lud ten, siedząc na pograniczu, wcześnie bardzo i jasno uświadomił swoją osobowość narodową, ponieważ jego sąsiedzi po tamtej stronie, którzy też „tęgie chłopy bywają", nie myśleli wcale darmo oddawać ani swoich wołów, ani owiec, ani »śrybła«, i w halach zawrzała nienawiść plemienna, będąca, niestety, dotąd jednym z koniecznych zdaje się pierwiastków narodowego wyodrębniania się.

Otóż z tych bitew homerycznych z Liptakami, z tych polowań na niedźwiedzie, z walki z tą całą naturą górską, z dziwnych obrazów pasterskiego życia, z legend i bajek, streszczających całą umysłowość górali — z tych wszystkich motywów, silnych i dzielnych, składają się opowieści Sabały.

Pomimo wszystkich trudów i niebezpieczeństw życia strzelca, ciągłego czuwania z odwiedzionemi kurkami, latania po wirchach, szybkości, z jaką przebiegają wypadki — pomimo tego wszystkiego, Sabała naturę obserwował, podpatrywał, zapamiętał tajemnice jej życia, ruchu, kształtu i barwy, ztąd też jego mowa jest tak silną i obrazową.

Wirchy i przepaście, orły, niedźwiedzie, świstaki, kozice, blaski słońca, cienie chmur i mroki nocy, skały i śniegi, i wonna zieleń smereków i czarne krzaki kosodrzewiny, i szum wód spienionych, słowem, ten cały świat górski żyje w jego mowie, wzajemnie się objawia, ozdabia i uplastycznia.

Zwięzłość, wyrazistość, jasność i dobitność określeń jest niezrównana.

Prostota i wielka szczerość tej mowy robi to, że wszelkie fartuszki, narzucane przez konwenans na wyrazy, wydałyby się tu śmiesznemi. Sabała nazywa wszystko po imieniu, a nigdy jednak nie zdaje się być trywjalnym.

Nie mówiąc już o uroku, jaki ma sama przez się gwara góralska, uderzająca bogactwem wyrazów i form językowych, gwara ta, użyta przez Sabałę staje się czemś tak artystycznem, że niektóre jego opowiadania lub bajki są skończonymi wzorami doskonałości wyrażenia ludzkiej duszy i świata za pomocą słowa.

Samo jednak słowo mu nie wystarcza. On nietylko dobrze myśli; umie dobrze tę myśl wyrazić, on umie mówić-opowiadać: opowiadając, żyje życiem, które wspomina. Jego nieporównanie wyrazista i ruchliwa twarz mieni się wszystkiemi odcieniami uczuć, i tak, jak ton głosu, ilustruje wypadki, podkreśla spokój lub grozę położenia. Sabała w opowiadaniu jest i sobą, i niedźwiedziem, i orłem, i skałą, i Liptakiem, i kozicą. Jego ręce rysują w powietrzu kontury grani, opadają po stromych ścianach skał, lub ważą się, jak orle skrzydła nad przepaściami. Kiedy Sabała mówi: »Do wirchu« — wznosząc oczy i palce ku górze — to się widzi szczyt zaobłoczny.

Sabała nigdy nie kłamie. Jego opowiadania nie są »szklarstwem«, obrachowanem na wychwalanie i wynoszenie siebie nad innych. Nigdy nie wyciąga siebie na pierwszy plan — on jest jednym z działaczy poematu, momentem z akcji i nic więcej. Sprawiedliwość, z jaką wychwala czyny innych strzelców, pobłażanie, jakie ma dla tych, którym się nie powiodło, przytem sympatja dla młodszych, których dzielność go cieszy, usuwają z jego opowiadań wszystko, coby je mogło uczynić natrętnemi i nudnemi.

Sabały opowiadań słucha się tak, jak się patrzy po wiele razy na dobry, niezmanierowany obraz, jak się czyta po wiele razy pieśni Homera — z którémi mają one wiele wspólnego.

Odrzuciwszy formę wiersza, której Sabała nie używa, to wszystko, co stanowi treść życia, ten materjał, z którego są zbudowane obrazy, w jednym i drugim wypadku są te same.

Przedewszystkiem górska natura prowadzi do tych samych porównań; życie ludzkie, życie pasterzy u Sabały i u Homera jest tak podobne, że jeżeli na miejsce bohaterów Iljady lub Odyseji, jakkolwiek oni się nazywają, podstawimy naszych Walczaków, Pitoniów, Gąsieniców i Mardułów, nie będziemy potrzebowali dodawać nic więcej oprócz »złota i śrybła«, których homerydzi mieli do zbytku, a o których pasterze hal tatrzańskich tylko marzyli.

Skala uczuć, poziom etyczny, stosunek do natury są tak dalece te same, że kiedyśmy raz, siedząc w zimie u ogniska w Rostoce, czytali Odyseję góralom, słuchali jej jak opowiadań Sabały i bawili się również dobrze, a nadewszystko sam Sabała niewymownie się cieszył z pomysłów Odyseusza.

Ponieważ to podobieństwo między treścią opowiadań Homera i Sabały mogłoby stanowić materjał osobnego studjum, nie chcę zajmować tu miejsca dalszym tej sprawy rozbiorem, zaznaczę tylko, iż wartość artystyczna Sabały opowiadań, według mnie, nie często ustępuje pieśniom Homera.

Sabała gra na małych, bardzo starodawnych gęślikach. Nie jestem dosyć muzykalnym, żeby ocenić, co to skrzypienie jego gęślików jest warte pod względem muzycznym; ludzie zamiłowani w starodawnych melodjach góralskich i znający się na nich, jak np. ks. Stolarczyk, albo prof. Chałubiński, twierdzą, że są one nieporównane pod względem charakteru. Dla mnie widocznem jest, iż muzyka ta stanowi jeden ze sposobów jego mówienia. Są w człowieku takie przeczucia, takie nieokreślone myśli, które tylko dźwięk bezsłowny wyrazić potrafi.

Takim wyrazem jakichś stanów psychicznych są dla Sabały dźwięki jego gęślików. Smutek, malujący się przy tej muzyce na jego twarzy, jest dziwny i przejmujący. Gdzie są wtedy jego myśli, do czego lub po czem tęskni jego dusza, nie wiem — ale on wygląda wtedy tak, jak gdyby największy żal po czemś straconem ściskał jego serce. Ten Sabała, który mówi, że nigdy w życiu smutnym nie był, że »smutkiem się żyć nie opłaci«, że Pan Bóg nawet, jak widzi człowieka smutnego, to »banuje, co takiego stworzył?« — ten Sabała, przy swojej muzyce, wygląda tak, jak gdyby się gwałtem wstrzymywał od płaczu. Gęśliki przytem jęczą przeraźliwie. Nagle wchodzi mały Jędrek, i poprzez smutek i bolesne drganie ust Sabały przebiega jakiś weselszy uśmiech, czoło się wygładza łagodnie, gęśliki zaczynają dreptać coś wesołego. Sabała rozmawia muzyką z Jędrkiem, który stoi przed nim zachwycony i mruczy: »O! Sabala gla!«

Jak w tej chwili na jego twarzy, podobnież w jego charakterze, mieszczą się obok siebie rysy nadzwyczajnej łagodności, gwałtowności i groźnego zapamiętania. Sabała nigdy z »ludźmi«, to jest ze swoimi Zakopiańcami, »naremnym« nie był, ale biada Liptakowi, który mu stanął w drodze, albo niedźwiedziowi, na którego się zawziął. Jeżeli, jak sam mówi, pod wpływem »palenki«, która mu się we łbie paliła, tracił pamięć z gniewu, to jednak sympatja, jaką on ma wszędzie, świadczy, że chyba rzadko dał się unieść tej pasji burzliwego temperamentu. Temperament ten można porównać do natury arabskiego konia, tak ognistego, lotnego i odważnego, który pomimo tego jest tak łagodnym i ręcznym.

Ten jego lotny i niespokojny temperament, który go niósł tak daleko, jak ciągną się Tatry, tak wysoko, jak tylko sięgną ich szczyty, i dzięki któremu znają go i w liptawskich szałasach i na Białym i Czarnym Dunajcu, i na Orawskich zamkach, i w dolinach po Kraków — ten temperament nadaje też jego inteligencji wszechstronność i dziwną ruchliwość. Wielki i daleki świat go nęci i interesuje. Jemu »cliwo« bez ludzi, on »od ojców wyucony, zeby z kazdym człowiekiem cy on zyd, luter cy katolik, ugwarzyć, poradzić albo se poradzić«. Kiedy w roku 1848 kozacy dońscy stali przechodem w Dzianiszu, Sabała zaraz poleciał z nimi ugwarzyć. »Grzecne ludzie do rzecy, jużci pili my bez cały dzień; a ten ik oficerz cy wakmistr, to zaś mówił po polsku, jako i ja, toz to pedali, co u nik świat bogaty, ludzi moc i zycie majom dobre, no, juzci wolałek uwierzyć jako mi pedali, niźli iść pytać! Hej!«

Onby teraz jeszcze do Ameryki pojechał i spróbował ośmnastostrzałowego karabina, o którym tyle słyszał.

Sabała, tłukąc się samotnie po halach, myślał o wszystkich zagadnieniach, jakie sobie umysł ludzki stawia, i na wszystkie znalazł wyjaśnienia, albo bardzo bliskie tego, co uważamy za prawdę, co przez długie wieki w ogóle wystarczało ludziom; a jeżeli jego pojęcia o zjawiskach natury lub życia ludzkiego są czasem jakieś bajeczne, to ukazują się w tak poetycznej formie, że trzeba je szanować.

Przedewszystkiem umysł jego jest wyższy nad wszelkie zabobony. Z jednej strony nadzwyczajna inteligencja, z drugiej życie w ciągłych niebezpieczeństwach, w ciągłem zetknięciu się z tym światem, w którym się lęgną wszelkie zabobony, a do którego on szedł, uzbrojony odwagą i trzeźwą myślą, doprowadziły go do przekonania, że to są wszystko plotki, o których sobie stare dziady rozpowiadają. On sam o tem opowiada — ale jak o bajce.

— Ja ta cekog już nie zaznał, ka już nie był, a nigdzie nigdy nikany, takik figlów, duków nie widziałek!

Jak Homer, niezależnie od wartości artystycznej, od tej przyjemności, jaką sprawia umysłowi ludzkiemu sztuka, ułatwiając powstawanie w nim obrazów i wyobrażeń, ma wartość świadectwa pewnej epoki rozwoju ludzkości, historycznego dokumentu — podobnież opowiadania Sabały streszczają w sobie pojęcia, wierzenia i ustrój życiowy pewnego społeczeństwa, które przechodzi już do przeszłości i które pomimo małych granic przestrzennych, na ktorych się rozwijało, przedstawia jednak nadzwyczajny i wielostronny interes dla badaczy.

To co Nikita opowiadał.

(Z cyklu poezji prozą: »Łzy i uśmiechy«).

(Ciąg dalszy.)

— A ona dobra gospodyni?

— Byłaby dobra, jeno nie ma na czem jeszcze; bardzo to jej przykro i wstyd, że nawet krowy nie ma, po kwartę mleka rano to musi iść do sąsiadki kupić, też do takiej mołodyci, a ta jej się codzień dziwuje: — »Oj, jeszcze krowy nie macie?« — Jakby to krowa przez noc urosła! To Jewka się pogniewa i tydzień znów gdzieińdziej mleko kupuje, aż jej się znów tam dziwowanie uprzykrzy i już w końcu woli brać bliżej, bo jej też markotno nieść trochę mleka przez całą wieś.

A krowa ile kosztuje?

— Eh, znowu nie tak dużo, ale zawsze kilkadziesiąt rubli, jak ma być porządna, lecz myśmy musieli pierwej myśleć o dachu nowym na chacie, bo zewsząd zaciekało, a kuchnia się

waliła jakeśmy się żenili i klepisko w izbie rozmoknięte było; nim się to porobiło, tośmy też trochę grosza wydali, no, ale teraz w środku ślicznie!

— Tak? I cóż tam jest?

— A, komin bardzo piękny, duży, nie dymi, garnków stoi cztery duże a trzy mniejsze, pozatykała se Jewka łyżki drewniane nad okapem, obrazki też są dwa nad oknami, na łóżku pierzyna i koc jest czerwony i krzyżyk na ścianie, skrzynia zielona w jednym kącie, a w drugim ława i stół, szafliczek jest też i konewka do wody i nawet taka mała miseczka żółta, co kot z niej jada. Bardzo pięknie u nas jest!

— To macie kota?

— A tak, krowy ani konia, ani kur to nie mamy jeszcze na gospodarstwie, ale innego zwierza to tam Jewka ma sporo, bo jej też i wstyd tego, że niby gospodyni już, a nic się koło domu nie kręciło. Więc kociaka małego se dostała z innej chaty, już duża kotka teraz i jest troje małych; potem jest pies duży, taki sobie zwykły, bury i przetrącony, ale szczeka, a Jewka się cieszy, bo co krowa u sąsiadki ryknie, to on szczeknie; też na dachu jest bocian, już drugą wiosnę u nas mieszka; a tych wróblów to już cała chmura siedzi nad oknami i piszczą calusieńki dzień, nigdzie ich tyle niema, co u nas, bo się wabią; Jewka im rzuci raz poraz, sama nie doje, a im da, żeby coś śpiewało koło domu.

— To ona sama musi być wesoła?

— A, cały dzień śpiewa i ciągle skacze, to po izbie, to po ogródku, tym małym, co jest koło domu, to jak idzie po co, ale co najlepiej robi, to przędzie, tak równiuteńko, mocno. Dają jej prząść w zimie; budzie do północy kręciła a śpiewała, czasem do sióstr moich przychodzi i razem przędą i śmieją się, szczególniej z Ahapją.

— Jewka może była przyjaciółką Ahapji jeszcze przed waszem weselem?

— Tak, trochę; ale ja ją już dawniej uwidział sobie i myślał — to będzie ta...

— Dlaczego?

— A, bo to już tak miało być... Ludzie mówią, że jak już raz oczy padną, to tak już będzie na pewno, choćby nie zaraz...

— A ładna Jewka?

— A, śliczna!

Nikita umilkł i nie miał ochoty jakoś opowiadać szczegółowo, tylko smagłą twarz podniósł ku księżycowi, brał w oczy otwarte światłość miesięczną i uśmiechał się w milczeniu. Uszliśmy kawał drogi, widać już było szyny kolejowe, księżyc zsuwał się z drutów telegraficznych i podnosił się w górę, jak wielki balon świetlany, do którego śmiertelnicy wiecznie łódkę swych marzeń przyczepiają. Z oddali szły ku nam szczęki kosy, jakieś urwane okrzyki, urywki pieśni, śmiechy żniwiarzy.

— Nikita!

— Słucham.

— No, a nie powiesz, jak Jewka wygląda?

— Eh, ja sam nie wiem... tylko tyle, że przyjemno na nią patrzeć: wesoła, zawsze jej dobrze, choć biedna była i jest jeszcze, ale jak się z nią pogada, to się jakoś człowiekowi bezpiecznie robi i czujemy razem, że se radę damy na świecie... Oczy to takie ma, jakby zimą nawet wiosnę widziała, a jak w sobotę włosy wszystkie rozczesze, jest na co popatrzeć, tak się to kręci aż po ławie, gdzie Jewka siedzi, żadna w całej wsi takich nie ma! Jak ona się czesze, to ci moi dwaj mali bracia zawsze lecą patrzeć i dziwują się i przedrzeźniają jej też, że ona sobie konopi nasiała na głowie i taka jej przędza wyrosła, jeno prząść. Ona się uśmiecha na to, a ciasno splata i grozi im, że ich zbije swoją kosą, jak warkocz skończy, leci za nimi, a jak złapi, to pieści obu aż strach, bo ich okrutnie kocha, tych dwóch małych hultajów.

— A jakie mają imiona?

— Jachtym i Karpo, bliźnięta są, dwaj jak jeden, zawsze razem, jeszcze ich nikt nie widział poosobno, jakby zrośnięci; trzymają ze sobą, jak co zbroją, to zawsze odpowiadają: »My to razem zrobili!« A biją się, jak dwa koguty, a po dziedzińcu się kulgają, jak dwa kociaki, a na łące, jak łoszęta biegają jeden za drugim.

— To oni się bawią pewnie tylko, kiedy jeszcze mali?

— Ale gdzie! oni już mają po dziesięć lat, właśnie w jesieni skończą, matka mówi, że oni jak dwa jabłka czerwone z drzewa spadli na jesień... Tacy też rumiani, czerstwi, mocni aż miło, i też dobrze pracują. Gmina ma wspólne pastwisko, za tymi kartoflami, wszyscy chłopi bydło tam wyganiają, a oni dwaj pasą.

— I dadzą radę?

— Czemu ni! a, oni ślicznie pasą! żadna sztuka nie pójdzie sobie kędyś, ani w las, ani w zboże, oni oblatują dookoła, krzyczą, naganiają, pilnują, nawet cztery duże byki słuchać muszą, a jest wszystkiego bydła ze trzydzieści. Czasem to mają biedę, bo się to krowa, to baran chce wymknąć albo zawracać do domu nie chce, trzeba zabiegać, gałęzią bić i pędzić; raz to krowa Jachtyma tak uderzyła rogiem, że się przewrócił i o kamień w trawie głowę skaleczył, dotąd ma znak na skroni i tem się różni od Karpa, a znów raz byk nastąpił Karpowi na nogę i jeden palec mu u lewej nogi spłaszczył, tak, że choć dawno nie boli, ale już taki inny zostanie. To im się też jakoś razem na wiosnę przytrafiło, więc obaj się ratowali, jeden drugiemu smarował skórę, coś tam sobie przykładali i tak im szczęśliwie przeszło. Ci dwaj to znów tak znają wszystko w powietrzu, jak Trofym w ziemi; śpiewają, jak każdy ptak, bzykają, jak każda mucha, wiedzą, gdzie jakie na łące gniazdo, czasem

to jak skowronek spada z nieba, to tak podlecą pod niego, że im w czapkę wleci.

— Ale nie męczą skowronka przecież?

— Ah, nigdy! to święty ptak, puszczą go zaraz w powietrze; innego ptaka, to tam czasem przyniosą, przepiórkę lub słomkę, ale ojciec krzyczy, bo by się szkodę nauczyli robić. Oni też dużo czasu na psotę nie mają, bo muszą ciągle uważać na bydło, nauganiają się dość dzień cały, wieczór zmęczeni jak wrócą, tylko krzyczą: jeść! A potem obaj legną na słomie, śpią jak zabici, a o świcie, który się pierwszy obudzi, drugiemu do ucha pieje, jak kogut, a potem lecą do Myny, czy warzy już strawę, a potem do Ahapji i ręce w balję kładą, aż ona im mydliny, jak śniegu w oczy rzuci, piszczą, i dadzą jej pokój. Suknie drą na sobie bardzo, ale buty to już ze dwa lata sami sobie kupują i sami stargują u szewca. Wielki śmiech u szewca, jak oni przyjdą, bo zawsze stalują se tak: »zrobić nam buty na cztery nogi!« oni się tak już sami liczą za jedną osobę.

— Muszą się bardzo kochać obaj?

— A, jak jednemu kto krzywdę zrobi, to drugi będzie się mścił, aż się nie uspokoi zupełnie; raz to starosta w gminie nie chciał Juhtymowi wypłacić wszystkich kopiejek co mu się należały i jeszcze go z izby wypchał, że może poczekać na swoją zapłatę, a na drugi dzień o świcie miał jechać na swoje wesele; więc Karpo poszedł tam do niego jak już spał, szyby mu wapnem zamalował od dworu, tak, że w izbie było ciemno, choć już dzień duży wstał, starosta zaspał, bo co spojrzy w szybkę, to mrok, aż w końcu wychodzi z chałupy, a tu dzień; na wesele się spóźnił o dwie godziny, skrzyczeli go, a nasz ojciec miał straszny potem kłopot, nim się starosta złościć przestał, bo się z niego we wsi okrutnie śmieli. Oni są hultaje zbytni, ale i dobrzy umieją być, zawsze pomogą chłopu na gościńcu wóz z błota wyciągnąć, albo drogę pokażą, albo jak kto co zgubi, to lecą i oddają, albo odnoszą do gminy. Na łące brykają jak dzikusy jakie, w izbie przy kołysce to siedzą jak baranki cichutko i po maleńku przyśpiewują małemu.

— To u was i w kołysce coś jest?

— A jakże! Najmłodszy z nas, Taraś, rok mu będzie niezadługo, ale tym to się najwięcej Łupka zajmuje.

— To ta, co ma pięć lat?

— Ta sama. Ona go i przewinie, i jeść mu da, bo on już je różne rzeczy, i wyniesie go na dwór, w trawie położy, siedzi nad nim i gada do niego, jak do starego, opowiada, co kto robi, gdzie kto poszedł, a mały się śmieje i śmieje i za włosy ją chwyta. Ale ona zawsze gada, żeby wolała iść na robotę, bo przy dziecku nic nie zarobi, a koniecznie zarabiać już chce. Czasem to jej matka też pozwoli, siostry ją wezmą ze sobą i ma przyjemność tę, że przyniesie parę kopiejek.

— Ale cóż takie maleństwo może robić?

— Czemu ni! ona przez to lato już dwa ruble zarobiła! spódniczkę ma na sobie i katankę za własną robotę i rubel jej został, a nim się wszystko w polu pokończy, to doskłada drugiego i kupi sobie na zimę matynkę w Pinczance. Tam dobrze robią i nie drogo, ona już tylko o tem myśli i gada.

— Cóż taka odrobina może nawet robić w polu?

— Buraki przerywa, sałatę przesadza, grabi grządki, dołki robi na truskawki, kapustę rozsadza, a już najlepiej jej idzie koło buraków; jak se siędzie w bruździe, taka maleńka, szara sama, jak ta ziemia, to jej nie znać prawie, a prędko rączkami tak grzebie, ostrożnie, żeby szkody nie uczynić, i rusza się tak wzdłuż zagonów pilnie, ani nie spojrzy nigdzie. Czasem to ją siostry z oczu stracą i krzyczą: Łupka! gdzie ty! to ona się zerwie na nogi i piszczy cienko: siuda! wtedy ją widać zdaleka, bo ma głowę jasną, włosy takie złote, kuszczane, co jej wiecznie w oczy spadają: pokaże się na chwilę, gdzie jest, i zaraz przysiada i dalej się śpieszy, bo taki honor ma, żeby dopędziła inne dziewczęta. Pięć kopiejek na dzień zarobi i nikomu nie da schować, jeno Trofymowi, którego strasznie lubi, bo on się nigdy nie śmieje z jej roboty i zawsze liczy z nią, ile wydała, ile ma, ile jeszcze mieć może. Jak jej kopiejki w rękę dadzą, to ściśnie pięść i leci do domu przez pola, a skacze przez rolę, jak zając szarawy, do chaty wpadnie, Trofyma szuka, a jak go niema jeszcze, to siędzie na progu i czeka.

Dok. n. *Szczęsna.*

Złotem ci to naród nagrodzi.

Przez

L. K. Lazarewicza.

(Ciąg dalszy).

Czytelnik omyliłby się wielce, wnosząc z powyższego zajścia, że Błagoj należał do ludzi zgryźliwego charakteru. Boże uchowaj! To tylko zniecierpliwienie długiem a bezowocnem oczekiwaniem wprawiło go w stan gorączkowy, w którym się znajdując, szukał dla siebie jakiegoś zajęcia, aby zapomnieć o trosce. Zgodziłby się teraz bić kogoś, albo być bitym, byle czas sobie skrócić. Nie był on nawet — ogólnie rzecz bio-

rąc — zbyt rozmownym, a dzisiejsze jego zaczepianie wszystkich, kogo spotkał, było jedynie rozpaczliwą próbą zagłuszenia nurtującego mu pierś niepokoju. Zwrócił się też niebawem znowu do kapitana z zapytaniem:

— Czy widzieliście tego — z nogą?

— Kogo — z nogą?

— Ależ tego — bez nogi?

— Kogo bez nogi?

— Eh, tego o kuli!

— O kuli?

— A tak, o kuli! tego, któremu to doktorzy nogę ucięli.

— A pocóż mu ją ucinali?

— Poto, że byłby umarł z rany, którą otrzymał pod Jaworem. Operacja okazała się nieuniknioną i oto dotąd chodzi bez nogi. Albož go nie znacie?

— Nie, nigdym go nie widział.

— A przecie żebrze codziennie pod kościołem.

— Hm!

— Oh, Boże! — Błagoj wzdrygnął się całem ciałem — lepiejby mu było stokroć umrzeć! A on żyje! I jeszcze fajkę pali! I nic mu to podobno nie szkodzi!

— Pewnie, że nie szkodzi.

— Ale najgorzej to mię dręczy, że ten biedak żebrze.

— Wszak musi jeść!

— O tak, niewątpliwie! Ale ponieważ nogę utracił w bitwie, więc powinniby mu to wynagrodzić. Jakby to było pięknie, gdyby mu powiedziano: Oto masz, bracie! Cześć ci i wdzięczność, żeś za nas krew przelewał i t. p. Człowiek, proszę pana, bywa niekiedy ręką całej rodziny — jakżebym miał to dokładniej powiedzieć?... I oto traci nogę, chodzi o kuli, a pomimo to chce jeść i pić, radby też mieć od czasu do czasu fajkę tytoniu... wszak nie przestaje być człowiekiem...

Kapitan uczuł się powołanym do zaznajomienia dobrodusznego towarzysza z ustawą o inwalidach.

— Bardzo to pięknie — zaczął — skoro ktoś przelewa krew za ojczyznę. Ale z drugiej strony nie może on żądać, aby w zamian za utraconą nogę zrobiono go radcą. Zważcie tylko, proszę: każdy, kto daje się okaleczyć w obronie ojczyzny, powinien uważać siebie za szczęśliwego, że zdołał wywdzięczyć się matce swej, ziemi rodzinnej. Wszyscy my zaciągamy długi względem ziemi, lecz ona nic i nikomu nie winna...

— Eh, znam ja te wasze filozoficzne teorje, znam! Słyszałem także i o tem, że »prochem jesteś i w proch się obrócisz!« Zgoda, filozofujcie sobie, ale nie zapominajcie też i o łaknących ustach! Wszak to jasne, — jakże mam powiedzieć? Wszak to okropny widok!... Obcięli aż potąd człowieka, a głód pali mu wnętrzności... Więc ma żebrać? Musi! — Nie może orać, nie może kopać! A zdarza się, że i jałmužna nie dopisze. Ha, gdybym miał władzę, wiedziałbym, co mam robić. Chodziłbym sobie pięknie od chaty do chaty. Przestępuję próg, widzę gospodarza, zajadającego jajecznicę. — »A, jesz jajecznicę? — »Jem«. — »A co ma ten nieszczęśliwy bez nogi?« — »Cóż mię to obchodzi!« — »Ha, nic cię to nie obchodzi? Wezwij więc doktorów. Jednego, dwóch, pięciu... ilu potrzeba! A teraz rżnijcie! Nie pytam zgoła, czy operacja potrzebna, rozkazuję tylko: rżnijcie! Tak! A teraz wiesz, jak słodko tamtemu biedakowi? Ha, synku!

Kapitan, widząc, że Błagoj nie zna się na subtelnościach, próbował zniżyć się do jego poziomu.

— Tak, tak, zapewne — przytwierdził. — I niech tylko wojna się skończy, a wszystkim zapewni skarb państwa przyzwoite utrzymanie.

— Eh, panie! bywa tego jak raz tyle, aby nie wystawać pod kościołem i nie żebrać po jarmarkach. Gdyby tak dla mnie kto utracił mały palec, jabym go!... A tu wszak całe państwo... Ale słuchajcie!... Gwizdnęło!...

— Przysłyszało się wam!

— O nie, na Boga!

I Błagoj wypadł z mehany, jak burza, lecz po chwili wrócił, zawiedziony.

— Wabił ktoś zapewne szpaki. Zdarza się też nieraz, że ulicznicy gwiżdżą na kluczu... I dla czego ten parostatek spóźnia się tak niemiłosiernie? Czy miało to już kiedy miejsce? Nie wiecie? — Hej, chłopcze, bywaj tu!

Umurusany sługa wysunął się z kąta.

— Czy zdarzało się już kiedy, aby statek spóźnił się tak bardzo, jak dziś?

— Nie wiem.

— Nie wiesz, głupcze! A cóż wiesz? Mów, co masz do przepłukania gardła?

— Wszystko! — zaśmiał się niby dowcipnie kelner.

— Czy pijecie rakiję*? — zwrócił się Błagoj z zapytaniem do kapitana.

— Nie.

— I ja nie wielkim jestem jej amatorem. Ale cóżbym tu dalej robił? Zaczekajcie, czy nie gwizdnęło?

Umilkł, wsłuchując się w ciszę.

— Eh, nic! Dawaj rakji! Nie mogę już nawet palić. Serce zczerniało mi całkiem od dymu! Fi! cóż to za pomyje, a ciepłe! fi, fi!

Gdy jednak wypróżnił kawaterkę, oczy błysnęły mu żywszym ogniem, a twarz przybrała wyraz poważnego namysłu.

— To mi dopiero piękny statek! Wszak powinien być szybszy od jazdy kołowej! A jednak gdybym był dosiadł lada jakiej szkapy, gdziebym już teraz był! A cóż dopiero rumaka! Iluby tak godzin potrzebował dobry koń?

Kawalerzyści mówią chętnie o koniach nawet z siostrami miłosierdzia. I kapitanowi przeto

---

* Gorzałkę.

zaiskrzyły się oczy. Miał też zapewne na myśli czystej krwi araba, gdy odpowiedział:

— Ośmiu godzin!

— Ośmiu, mój Boże! — zawołał Błagoj. — A tu już doba mija! Gdybym był wiedział!... Ale przecie nie mógłbym go wziąść na wóz. Towarzysz jego, Jole, pisze, że lekko, ledziutko ranny, ale rana zawsze jest raną, wiecie? A ja miałbym go na wóz pakować! A jaką to klacz miał mój majster!... Hej, chłopcze, wódki mi daj, gałganie! Klacz wyglądała jak sarna! A głowę tak oto niosła.

I Błagoj wyciągnął, a potem zgiął rękę, aby upodobnić ją do konia z zadartą głową.

— No i cóż, nie masz tam gorzałki, smarkaczu? Powiedz panu Dawidowi, że chcę pić. Powiedz, aby dał dobrej; powiedz: gazda Błagoj prosi!... Jak wygnie kark! Trzeba było dobrych rąk, aby uzdę utrzymać. A skoro zacznie cwałować, głowę między nogi wbije, a ty trzymaj, trzymaj... a ona pędzi po kamieniach, po nasypach, pędzi, leci... Dzwonek! słyszycie, dzwonek! Płacić!

I znowu wybiegł z mehany. Gdy jednak wrócił tą razą, na twarzy jego nie było ani śladu zniecierpliwienia, a tylko bezmyślna wesołość wyglądała z oczu, w których, jak mówią moi ziomkowie, zaczynała rakija parować.

— Co to była za klacz! Prawdziwy rumak! Majster zaprzągł ją pewnego razu do paki z towarami, a sam wskoczył jej na grzbiet. Ale nim dostał się za wrota, już leżał na ziemi, paka na nim, a my... my... I poco te zapałki tu leżą... wszak całkiem już zwilgotniały..

Kapitan nie słuchał go już oddawna. Myśli jego pomknęły daleko, hen, aż do Kniażowca, gdzie żona jego, oczekując powrotu do zdrowia, przebywała w domu swej matki. Ale teraz włóczyły się w tamtych stronach bandy Czerkiesów i straszne przypuszczenia gryźć zaczęły mózg kapitana. Wszelkie okrucieństwa, jakich się zwykli dopuszczać ci ulubieńcy Europy, stawały mu żywo przed oczyma. A ponad tem wszystkiem górowała rozpaczliwa niepewność, od czasu bowiem, gdy poszedł na wojnę, dwa tylko listy otrzymał od żony. W obu pisała, że skoro tylko dziecko przyjdzie na świat, a ona sama wróci do sił, pośpieszy z nim się połączyć. Ale od ostatniego listu minęło pięć tygodni, Turcy dotarli już do Tresibaby... I oto Czerkiesi burzą jego dom, podpalają łóżko, na którem spoczywa może chora żona. A on oczekuje tutaj jej przybycia! Drga w piersiach człowieka pewna struna, zawodna, jak przypadek, chociaż się zwie »przeczuciem«. Grający na loterji miewa zwykle przed każdem ciągnieniem przeczucie, że wygra, a po ciągnieniu nigdy się nie dziwi, że go ono zawiodło. A skoro padnie i na niego ślepy los, wówczas stara się cały świat przekonać, że wiedział o tem z góry, gdyż wszystko mu się inaczej, niż zwykle, składało.

I kapitan Atanazy po raz już trzeci śpieszy do przystani, oczekuje przybycia parostatku, chociaż nie łatwą było rzeczą dostać urlop u komendanta, bo każdą razą zdawało mu się, że przeczucie go nie zawiedzie. Ale teraz zaczyna ze wszystkiego wnioskować, że nawet parostatek wcale nie przybędzie. Wpada w stan podrażnienia i niecierpliwości, w jakim Błagoj znajdował się już od rana. Puszcza wodze myślom i zatrzymuje się na najbardziej ponurych. Widzi siebie w rodzinnem mieście, w Kniażewcu; zmierza w kierunku swego domu, siada pod orzechowem drzewem, które zostało zasadzone w dniu jego przyjścia na świat. Tu spoczywają jego rodzice, tu, wbrew wszelkim przeszkodom, połączył się pierścionkiem ślubnym z ukochaną dziewczyną. O jak mu drogie tu wszystko, jak miłe! Kocha dawne wpomnienia i stare pamiątki, ale ponad wszystkiem góruje wesołe, uszczęśliwione, śliczne oblicze młodej żony i niepewna, wstydliwa nadzieja, że może został już ojcem... i... Ale nie, nie może być! Wszak i Turcy są ludźmi!

Powiódł ręką po czole, jakby chciał rozegnać straszne myśli.

— Majster, kto wie, jakby się ucieszył, gdyby się była oźrebiła — ciągnął dalej opowiadanie Błagoj, zwracając się ku miejscu, na którem siedział początkowo kapitan — daję słowo! było to bowiem dziwo, nie koń! Eh, ale też...

Kapitan zwracał tyleż uwagi na jego słowa, co i na rytmiczny ruch wahadła ściennego zegara. Ani pierwsze, ani drugie nie przerywało wątku jego rozmyślań.

Znowu na dawnem znajduje się miejscu. Znowu widzi płonący dom i ulicę, zarzuconą drogiemi sobie pamiątkami.

Tłumacz. z serbskiego

Dok. n. *M. Wysłouchowa.*

Rozbiory i sprawozdania.

Stefan Komornicki. »Polska na Zachodzie w świetle cyfr i zdarzeń«. — Część pierwsza. — Zabory i kolonizacja niemiecka na ziemiach polskich z szczególnem uwzględnieniem W. Ks. Poznańskiego do roku 1848. We Lwowie. Nakładem »Ekonomisty Polskiego« 1894.

Poznańskie i w ogóle cały zabór polski zwraca na siebie w ostatnich czasach powszechną uwagę. Społeczeństwo polskie z ogromnem zajęciem śledzi sprawy Wielkopolski i Szląska. Polityka eksterminacyjna rządu pruskiego, działalność komisji kolonizacyjnej, wciąż wzrastająca świadomość narodowa i polityczna mas ludowych, niefortunna polityka ugodowa p. Kościelskiego, zapasy t. zw. stronnictwa ludowego z partją dworską — wszystko to znajduje żywy oddźwięk w innych granicach Polski. Kwestja, czy

zdoła utrzymać się w Prusach żywioł Polski wobec potężnych fal napływu giermanizacyjnego, czy też będzie zmuszony ustąpić, jest jedną z najgłówniejszych kwestji naszego bytu. Pisano też o niej dosyć, a dawniej głosy pesymistyczne przeważały. Tylko od niedawnego czasu coraz to częściej dają się słyszeć zdania, że obecnie już nie mamy wcale powodów obawiać się wynarodowienia ludności polskiej pod zaborem pruskim. Mało tego. Słyszymy już nieraz, i to najczęściej z ust polakożerczej prasy niemieckiej, że nietylko giermanizacja nie zagraża Polakom, ale naodwrót, nawpół zniemczeni Polacy powracają do swej narodowości, a biednym Niemcom zagraża radykalna polonizacja. Nie możemy pozwolić unieść się zbytniemu optymizmowi, gdyż w tych rozpaczliwych jękach, którymi rozbrzmiewa polakożercza prasa niemiecka, jest dużo przesady. Nie ulega to najmniejszej wątpliwości. Tem niemniej jedno można z całą stanowczością twierdzić, że sprawy nasze pod zaborem pruskim nie znajdują się w tak opłakanym stanie, jak sądzą pesymiści. Zadają kłam temu chociażby wybory do parlamentu niemieckiego, wyniki których są dla nas wciąż korzystniejsze.

Dotąd jednakże sprawy narodowości polskiej pod zaborem pruskim były najczęściej roztrząsane przez pisma codzienne lub tygodniowe, a rozpatrywane głównie ze stanowiska politycznego. Były co prawda prace i ściśle naukowe, dotyczące stosunków narodowościowych pod zaborem pruskim, te jednak dotyczyły pewnej tylko epoki, albo też obejmowały tylko pewną prowincję (Prusy zachodnie, Kaszuby itd.). Całokształtu procesu giermanizacyjnego na ziemiach Słowiańszczyzny północno-zachodniej, oraz ustosunkowania narodowościowego wszystkich prowincji polskich w Prusach dotąd nikt nam nie przedstawił. Z tem większą przyjemnością przychodzi nam powitać wyżej wymienioną pracę p. Komornickiego, która właśnie tej sprawie jest całkowicie poświęcona.

Praca ta to dopiero część pierwsza obszernego dzieła, traktującego o następujących trzech głównych kwestjach, najbardziej nas obchodzących: o zaborach i kolonizacji niemieckiej, o wychodźtwie ludu polskiego i o obecnym stanie większej własności w Poznańskiem.

P. Komornicki zaczyna notować postępy zaborów i kolonizacji niemieckiej na historycznych ziemiach polskich mniej więcej od roku 1000-go. Zanim jednak przystępuje do właściwych ziem polskich, daje nam wpierw obraz giermanizacji Słowiańszczyzny północno-zachodniej, kraju Serbów-Łużyczan, Hawłów i Lutyków i nareszcie Obotrytów i Wagrów. Historję zaborów i kolonizacji niemieckiej na ziemiach polskich dzieli p. Komornicki na trzy okresy: I. Okres Chrześcijaństwa, sięgający do porażki Zakonu pod Grunwaldem, a zwłaszcza do pokoju w Toruniu (1400). II. Okres Reformacji aż do I. podziału Polski w r. 1772. i III. Okres Porozbiorowy do czasów najnowszych. P. Komornicki zatrzymuje się nad każdym okresem, obliczając straty ze strony polskiej tak polityczne jak i narodowościowe na podstawie danych historycznych i statystycznych, krytycznie sprawdzonych. Aby osiągnąć cel zamierzony, musiał p. Komornicki uciekać się niekiedy do bardzo dowcipnych, a zawsze trafnych sposobów wydobywania prawdy z tendencyjnych cyfr urzędowych. Praca ta została doprowadzona do roku 1848. Nie myślimy rozwodzić się nad treścią dzieła, ponieważ zasługuje ona w zupełności na to, aby każdy czytelnik uważnie ją przestudjował, gdyż daje ona substrat faktyczny historyczno-statystyczny do poznania obecnego stanu zaboru pruskiego, jakoteż do stawiania pewnych prognostyków na przyszłość i dla każdego, komu nie obcą sprawa polska w tej dzielnicy, jest niezbędnem. Dzieło p. Komornickiego przekona pesymistów, że nie jest ze sprawą polską w Poznańskiem, w Prusach Zachodnich i Wschodnich lub na Szląsku tak źle, jak sądzą; optymistów zaś pouczy, przy jakich warunkach sprawa ta może rozwijać się pomyślnie dalej. Gorąco więc polecamy ogółowi naszemu »Polskę na Zachodzie«, ponieważ jesteśmy pewni, że nikt nie pożałuje czasu, na jej przeczytanie poświęconego. Na zakończenie podajemy spis ludności polskiej w Niemczech według danych urzędowych, obok których przytaczamy cyfry, otrzymane przez p. Komornickiego.

	Spis urzędowy z r. 1890:		Cyfry, otrzymane przez p. Komornickiego głównie na podstawie danych statystyki szkolnej:	
W. Ks. Poznańskie	1,053.134	50·1%	1,098.455	62·7%
Prusy Zachodnie	493.429	34·4%	526·341	36·8%
Prusy Wschodnie	327.696	16·7%	377.122	19·3%
Szląsk	994.961	23·6%	1,130.603	29·0%
Inne prowincje pr.	103.681	0·6	około 100.000	0·5%
	2,977.951	9·9%	3,233.021	10·8%

L. Wasilewski.

Przegląd pism.

»Ateneum«. — Listopad 1894.

W artykule p. t. »Znaczenie drogi żelaznej syberyjskiej« p. Leon Iwanicki, sięga pamięcią lat niemal trzydzieści wstecz, gdy przy budowie dróg żelaznych, łączących Warszawę z Moskwą, prorokowano Warszawie, iż stanie się ogniwem, łączącem Zachód z dalekim Wschodem. Nadzieje te spełzły na niczem, bo Warszawa po części nie umiała, po części zaś — dodać należy — nie mogła skorzystać ze swego położenia geograficznego. Dziś, przy podjęciu budowy dróg żelaznych syberyjskich, Warszawa może znowu zająć wybitne stanowisko w handlu zachodniej Europy z dalekim Wschodem i tę mysl właśnie p. I. rozwija w swym artykule.

P. Hösick w artykule p. t. »W Szwajcarji« prowadzi dalej swe studjum biograficzne o Słowackim: o genewskim okresie jego życia.

»Ewolucja człowieka« przez p. Trepkę zawiera streszczenie najnowszej pracy angielskiego uczonego Drummonda: »O pochodzeniu człowieka« (»The ascent of Man«), potrącając i o poprzednie jego dzieło: »Prawo przyrodzone w świecie duchowym«.

Dr. Grosglik pisze »O czynnościach móżdżku« dawnych i nowszych poglądach na tę kwestję.

Beletrystyka (nowela Rouby p. t. »Oryginał«), poezja oraz zwykłe działy sprawozdawcze i kronika miesięczna wypełniają resztę zeszytu.

p.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie